

LEE CHILD



**BEZ
LITOŚCI**



1

Jack Reacher zamówił podwójne espresso, bez mleczka i bez cukru, nie w porcelanowej, lecz styropianowej filiżance, i nim podano mu je do stolika, ujrzał, jak zmienia się bezpowrotnie czyjeś życie. Nie dlatego, że tak długo czekał na kelnera, lecz dlatego że to, co się stało, stało się tak szybko. Tak szybko, że Reacher nie miał w ogóle pojęcia, na co patrzy. To była jedna z owych miejskich scen, które zdarzają się na świecie miliardy razy w ciągu jednego dnia: facet otwiera drzwi samochodu, wsiada i odjeżdża. To wszystko.

Ale wystarczyło.

• • •

Kawa była niemal idealna, więc dokładnie dwadzieścia cztery godziny później Reacher wrócił do tej samej kafejki. Nie spędzał na ogół dwóch wieczorów w tym samym miejscu, ale uznał, że dla wspaniałej kawy można zmienić ustalone zwyczaje. Kafejka znajdowała się po zachodniej stronie Szóstej Alei w Nowym Jorku, pomiędzy Bleecker i Houston Street. Zajmowała parter przeciętnego czteropiętrowego budynku. Na wyższych piętrach mieściły się anonimowe mieszkania na wynajem. Sama kafejka wyglądała, jakby przeniesiono ją z jakiegoś zaułka w Rzymie. Wewnątrz były nisko zawieszony lampy, pokancerowane drewniane ściany, kontuar oraz powgniatany chromowany ekspres do kawy, wielki i długi niczym

lokomotywa. Na chodniku stały w rzędzie metalowe stoliki ogrodzone niskim płóciennym parawanem. Reacher usiadł przy tym samym — ostatnim w rzędzie — stoliku co poprzednio i wybrał to samo krzesło. Przeciągnął się, rozsiadł wygodniej i przechylił do tyłu. Jego krzesło oparło się o zewnętrzną ścianę kafejki. Siedząc w tej pozycji i patrząc na wschód, miał widok na chodnik i drugą stronę ulicy. Latem uwielbiał nowojorskie ulice. Zwłaszcza wieczorem. Lubił rozświetlony elektrycznością mrok, gorące brudne powietrze, uliczny zgiełk, wyjące wściekle syreny i ludzką ciżbę. Samotny mężczyzna mógł się tutaj poczuć częścią większej całości i zarazem kimś zupełnie anonimowym.

Został obsłużony przez tego samego kelnera co poprzedniego wieczoru i zamówił takie samo podwójne espresso w styropianowej filiżance, bez cukru i bez łyżeczki. Zapłacił za nie zaraz po podaniu i zostawił resztę na stoliku. Dzięki temu mógł wstać i odejść dokładnie wtedy, kiedy chciał, nie obrażając kelnera, nie oszukując właściciela i nie kradnąc porcelanowej filiżanki. Reacher zawsze aranżował wszystko tak, by móc w ułamku sekundy ruszyć dalej. Taką miał obsesję. Nic nie miał i niczego nie nosił. Był potężnym mężczyzną, lecz rzucał mały cień i zostawiał po sobie niewielki ślad.

Pijąc powoli kawę, czuł, jak z chodnika bije wieczorny żar. Obserwował samochody i przechodniów. Patrzył na jadące na północ taksówki i zatrzymujące się przy krawężniku śmieciarki. Widział grupki zmierzających do klubów dziwnych młodych ludzi. Obserwował podążające chwiejnym krokiem na południe dziewczyny, które kiedyś były chłopcami. Zobaczył zatrzymujący się w pobliżu granatowy samochód niemieckiej marki. Patrzył, jak wysiada z niego krępy mężczyzna w popielatym garniturze, jak idzie na północ, przeciska się między dwoma stolikami na chodniku i podchodzi do grupki stojących na zapleczu kelnerów. Patrzył, jak zadaje im pytania.

Facet był średniego wzrostu, nie za młody i nie za stary, zbyt solidnie zbudowany, by można go nazwać chudym, i zbyt szczupły, by można go nazwać ciężkim. Miał krótko przycięte włosy przyprószone siwizną na skroniach. Balansował na piętach i palcach stóp. Jego usta prawie się nie poruszały, gdy

mówił. W odróżnieniu od oczu, które niezmordowanie zerkały w lewo i w prawo. Reacher zgadywał, że facet ma koło czterdziestki i dożył tego pięknego wieku dzięki temu, że zawsze wiedział, co się wokół niego dzieje. Reacher widywał to samo spojrzenie u weteranów elitarnych jednostek piechoty, którzy przetrwali długie walki w dżungli.

A potem kelner odwrócił się nagle i wskazał Reachera. Krepą mężczyzna w popielatym garniturze zerknął w jego stronę przez szybę. Reacher popatrzył na niego przez ramię. Nawiązany został kontakt wzrokowy. Utrzymując go, mężczyzna w garniturze podziękował bezgłośnie kelnerowi, po czym ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Wyszedł na ulicę, skręcił w prawo i ocierając się o parawan, podszedł do Reachera, który pozwolił mu przez chwilę stać bez słowa przy stoliku.

— Tak — powiedział w końcu, podejmując decyzję. Zabrzmiało to jak odpowiedź, nie jak pytanie.

— Co tak? — zainteresował się facet.

— Cokolwiek — odrzekł Reacher. — Tak, dobrze się bawię, tak, może się pan przysiąść, tak, może mnie pan zapytać o to, o co chce pan zapytać.

Facet odsunął krzesło i usiadł tyłem do jezdni, zasłaniając widok Reacherowi.

— Rzeczywiście mam do pana pytanie — przyznał.

— Wiem — odparł Reacher. — O zeszłą noc.

— Skąd pan wie? — Facet miał niski, cichy głos i płaski, rwany brytyjski akcent.

— Pokazał mnie panu kelner — powiedział Reacher. — A od innych gości odróżnia mnie to, że ja byłem tutaj zeszłej nocy, a oni nie.

— Jest pan tego pewien?

— Niech pan się odwróci. I obserwuj ruch uliczny.

Facet odwrócił się w drugą stronę. I obserwował ruch.

— A teraz niech pan powie, jak jestem ubrany — poprosił Reacher.

— Zielona koszula — zaczął Brytyjczyk — bawełniana, workowata, tania, raczej nie nowa, podwinięte rękawy, pod spodem zielony podkoszulek, również tani i nie nowy, trochę

obcisły, niewciśnięty w brezentowe spodnie, angielskie półbuty, bez skarpetek, brązowe, nie nowe, ale i niezbyt stare, raczej drogie. Postrzępione sznurowadła, tak jakby ciągnął je pan zbyt mocno, kiedy pan je zawiązuje. Może to wskazywać na obsesyjną samodyscyplinę.

— W porządku — podsumował Reacher.

— Co w porządku?

— Dużo pan widzi — stwierdził Reacher. — Ja też dużo widzę. Jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Ze wszystkich gości tylko ja byłem tutaj również zeszłego wieczoru. Jestem tego pewien. I o to właśnie pytał pan personel. Musiał pan pytać. Kelner mógł mnie wskazać wyłącznie z tego powodu.

Facet ponownie odwrócił się do niego twarzą.

— Widział pan wczoraj samochód? — zapytał.

— Widziałem wczoraj mnóstwo samochodów — odparł Reacher. — Siedzimy przy Szóstej Alei.

— Chodzi o mercedesa. Parkował tam.

Facet ponownie się odwrócił i wskazał pusty odcinek krawężnika przy hydrancie przeciwpożarowym po drugiej stronie ulicy.

— Srebrny czterodrzwiowy sedan — powiedział Reacher. — Typ S-czterysta dwadzieścia, zamawiana indywidualnie nowojorska rejestracja, zaczynająca się od liter OSC. Dużo mil na liczniku. Brudna karoseria, zdarte opony, obdrapane felgi, wgniecenia i rysy na obu zderzakach.

Facet popatrzył na niego.

— Rzeczywiście pan go widział.

— Stał tam — Reacher pokazał.

— Widział pan, jak odjeżdża?

Reacher pokiwał głową.

— Tuż przed dwudziestą trzecią czterdzieści pięć wsiadł do niego jakiś facet i odjechał.

— Nie nosi pan zegarka.

— Zawsze wiem, która jest godzina.

— To musiało być bliżej północy.

— Może — odparł Reacher. — Niewykłuczone.

— Przyjrzał się pan kierowcy?

- Mówiłem już panu. Widziałem, jak wszedł i odjechał.
Facet wstał od stolika.
- Chcę, żeby pan ze mną gdzieś pojechał. — Wsadził rękę do kieszeni. — Zapłacę za pańską kawę.
- Już za nią zapłaciłem.
- W takim razie chodźmy.
- Dokąd?
- Do mojego szefa.
- Kim jest pański szef?
- Nazywa się Lane.
- Nie jest pan gliniarzem — powiedział Reacher. — Tak sądzę. Na podstawie tego, co zaobserwowałem.
- Co pan zaobserwował?
- Pański akcent. Nie jest pan Amerykaninem, tylko Brytyjczykiem. Nowojorska policja nie jest aż tak zdesperowana.
- Większość z nas to Amerykanie — odrzekł Brytyjczyk. — Ale ma pan rację, nie jesteśmy gliniarzami. Jesteśmy prywatnymi obywatelami.
- Jakimi dokładnie?
- Takimi, co na pewno się odwdzięczą, jeżeli poda im pan opis osobnika, który odjechał tym samochodem.
- W jaki sposób?
- Finansowo — odparł facet. — Czy jest jakiś inny?
- Mnóstwo — poinformował go Reacher. — Chyba tutaj zostaną.
- To bardzo poważna sprawa.
- Jaka sprawa?
- Facet w garniturze z powrotem usiadł.
- Nie mogę panu tego powiedzieć — oświadczył.
- W takim razie żegnam.
- To nie moja decyzja — wyjaśnił facet. — Pan Lane zaznaczył, że kluczowe dla całej misji jest to, by nikt o niczym nie wiedział. Z bardzo ważnych powodów.
- Reacher przechylił filiżankę i sprawdził jej zawartość. Zostało w niej niewiele kawy.
- Ma pan jakieś nazwisko? — zapytał.
- A pan?

— Pan pierwszy.

W odpowiedzi facet wsunął kciuk do kieszonki na piersi i wyjął z niej wizytownik z czarnej skóry. Otworzył go, wysunął pojedynczą wizytówkę i podał ją nad stolikiem. Była dość elegancka. Ciężki czerpany papier, wypukłe litery, tusz, który nadal wyglądał na mokry. Na górze widniał napis Operational Security Consultants, Konsultanci Ochrony Operacyjnej.

— OSC — powiedział Reacher. — Tak jak na rejestracji.

Brytyjczyk nie odezwał się.

Reacher uśmiechnął się.

— Jesteście konsultantami do spraw ochrony i daliście sobie ukraść samochód? Rozumiem, jakie to może być kłopotliwe.

— Nie chodzi nam o samochód.

Niżej na wizytówce było nazwisko: *John Gregory*. Pod nazwiskiem dopisek: *były żołnierz armii brytyjskiej*. Pod dopiskiem sprawowana funkcja: *wicedyrektor wykonawczy*.

— Kiedy pan odszedł? — zapytał Reacher.

— Z armii brytyjskiej? — upewnił się Gregory. — Przed siedmiu laty.

— Gdzie pan służył?

— W SAS.

— Nadal wygląda pan na wojskowego.

— Pan też — stwierdził Gregory. — Kiedy pan odszedł?

— Przed siedmiu laty — odrzekł Reacher.

— Gdzie pan służył?

— Głównie w wydziale kryminalnym żandarmerii.

Gregory podniósł z zainteresowaniem wzrok.

— Był pan oficerem śledczym?

— Na ogół.

— W jakim stopniu?

— Nie pamiętam — odparł Reacher. — Od siedmiu lat jestem cywilem.

— Niech pan nie będzie taki skromny. Na pewno dosłużył się pan co najmniej stopnia podpułkownika.

— Majora — powiedział Reacher. — Wyżej nie udało mi się awansować.

— Problemy z przełożonymi?

- Zdarzały się.
- Ma pan jakieś nazwisko?
- Ma je większość ludzi.
- Jak brzmi?
- Reacher.
- Co pan teraz robi?
- Próbuję wypić w spokoju kawę.
- Potrzebuje pan pracy?
- Nie — odparł Reacher. — Nie potrzebuję.
- Byłem sierżantem — powiedział Gregory.
- Domyśliłem się. Ludzie z SAS są na ogół sierżantami.

I wygląda pan na sierżanta.

— To jak, pojedzie pan ze mną i porozmawia z panem Lane'em?

— Powiedziałem panu, co widziałem. Może pan mu to przekazać.

— Pan Lane będzie to chciał usłyszeć bezpośrednio od pana. Reacher zajął ponownie do filiżanki.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko. Dziesięć minut drogi.

— Sam nie wiem — mruknął Reacher. — Przyjemnie mi się pije kawę.

— Niech pan ją ze sobą weźmie. Jest w styropianowej filiżance.

— Lubię ciszę i spokój.

— Chodzi tylko o dziesięć minut.

— Za bardzo się przejmujecie skradzionym samochodem, nawet jeżeli to był mercedes.

— Nie chodzi o samochód.

— Więc o co chodzi?

— To sprawa życia i śmierci — odparł Gregory. — Chociaż w tym momencie bardziej śmierci niż życia.

Reacher jeszcze raz sprawdził filiżankę. Została w niej nie więcej niż jedna ósma cała letniej, gęstej od fusów kawy. Odstawił ją.

— Dobrze — powiedział. — Chodźmy.

2

Granatowym samochodem niemieckiej marki okazało się nowe bmw z serii siódemek. Jego numer rejestracyjny również zaczynał się od liter OSC. Gregory otworzył auto pilotem. Reacher usiadł bokiem na fotelu pasażera, znalazł dźwignię i przesunął go do tyłu, żeby mieć miejsce na nogi. Gregory wyciągnął małą srebrną komórkę i wystukał numer.

— Jadę ze świadkiem — powiedział ze swoim rwanym brytyjskim akcentem, po czym zatrasnął klapkę telefonu, zapalił silnik i włączył się do ruchu.

Dziesięć minut przedłużyło się do dwudziestu. Gregory przejechał Szóstą Aleją przez całe Midtown, skręcił na zachód w Pięćdziesiątą Siódmą, po dwóch przecznicach ponownie na północ w Ósmą Aleję, na Columbus Circle w Central Park West, potem w Siedemdziesiątą Drugą i zatrzymał się przy Dakota Building.

— Niezła chata — ocenił Reacher.

— Dla pana Lane'a wszystko co najlepsze — odparł Gregory bez śladu ironii w głosie.

Wysiedli razem z samochodu i stanęli na chodniku. Z półmroku wyłonił się kolejny krępy facet w popielatym garniturze, wsiadł do samochodu i odjechał. Gregory wszedł wraz z Reacherem do budynku i podeszli do windy. Utrzymane w mrocznej tonacji korytarze urządzone były z takim samym przepychem jak wejście.

— Widział pan kiedyś Yoko? — zapytał Reacher.

— Nie — odparł Gregory.

Wysiedli na czwartym piętrze. Gregory skreślił w boczny korytarz i otworzyły się przed nimi drzwi apartamentu. Portier musiał zatelefonować z dołu. Ciężkie dębowe drzwi były w kolorze miodu, podobnie jak ciepłe światło, które padało zza nich na korytarz. Apartament był wysoki i solidny, i panował w nim chłód. Z małego kwadratowego przedpokoju wchodziło się do obszernego kwadratowego salonu. Salon miał żółte ściany, niskie lampy stołowe oraz obite drukowaną tkaniną wygodne fotele i sofy. Przebywało w nim sześciu mężczyzn. Żaden z nich nie siedział. Wszyscy stali w milczeniu. Trzej byli ubrani w popielate garnitury podobne do tego, który nosił Gregory, trzej pozostali w czarne dżinsy i czarne nylonowe kurtki. Reacher natychmiast zorientował się, że wszyscy byli kiedyś żołnierzami. Tak jak Gregory. Wszyscy mieli w sobie to coś. Sam apartament przypominał bunkier dowodzenia oddalony o wiele mil od miejsca, w którym kończyła się klęską dobrze zapowiadająca się bitwa. Panowała w nim ta sama atmosfera cichej desperacji.

Kiedy Reacher wszedł do środka, wszyscy odwrócili się i zmierzili go wzrokiem. Żaden się nie odezwał. Ale potem pięciu mężczyzn spojrzało na szóstego i Reacher domyślił się, że to jest pan Lane. Szef. Był o pół pokolenia starszy od swoich ludzi. Ubrany w popielaty garnitur, szczupły, trochę więcej niż średniego wzrostu, miał przyszczyżone do samej skóry siwe włosy i bladą zatroskaną twarz. Stał sztywno wyprostowany, spięty, dotykając opuszkami rozpostartych palców blatu stołu, na którym spoczywał staroświecki aparat telefoniczny oraz oprawiona w ramkę fotografia ładnej kobiety.

— To jest świadek — powiedział Gregory.

Żadnej odpowiedzi.

— Widział kierowcę — dodał Gregory.

Stojący przy stole mężczyzna zerknął na telefon, a potem podszedł do Reachera i przyjrzał mu się od stóp do głów, badając go wzrokiem, oceniając. Zatrzymał się i wyciągnął do niego dłoń.

— Edward Lane — przedstawił się. — Bardzo mi miło pana poznać. — Miał amerykański akcent pochodzący z jakiegoś wygwizdowa oddalonego o całe lata świetlne od Manhattanu, być może z Arkansas albo wiejskich terenów Tennessee, lecz wygładzony przez długie lata służby wojskowej. Reacher podał swoje nazwisko i uściśnął dłoń Lane'a. Była sucha, nie za ciepła i nie za zimna.

— Niech mi pan powie, co pan widział — poprosił Lane.

— Widziałem, jak facet wsiada do samochodu i odjeżdża — odparł Reacher.

— Chcę poznać szczegóły.

— Reacher pracował kiedyś w amerykańskim wojskowym biurze śledczym — odezwał się Gregory. — Opisał w idealny sposób mercedesa.

— Proszę opisać kierowcę — powiedział Lane.

— Lepiej widziałem samochód niż kierowcę — wyjaśnił Reacher.

— Gdzie pan się znajdował?

— W kafejce. Samochód stał na północny wschód ode mnie, po drugiej stronie Szóstej Alei. Pod kątem mniej więcej dwudziestu stopni, w odległości mniej więcej dziewięćdziesięciu jardów.

— Dlaczego pan mu się przyjrzał?

— Był źle zaparkowany. Nie pasował do tego miejsca. Domyśliłem się, że stoi koło hydrantu.

— Bo stał — rzekł Lane. — I co dalej?

— Potem ten facet przeciął ulicę, idąc w jego stronę. Nie na przejściu dla pieszych, ale wyszukując przerwy między jadącymi samochodami, na ukos. Pod kątem zbliżonym do mojej linii widzenia, około dwudziestu stopni. Dlatego w gruncie rzeczy przez cały czas widziałem jego plecy.

— I co dalej?

— Wsadził klucz w drzwi, wsiadł do środka i odjechał.

— Oczywiście na północ, skoro to była Szósta Aleja. Czy zawrócił?

— Nie widziałem.

— Może go pan opisać?

— Niebieskie džinsy, niebieska koszula, niebieska czapeczka baseballowa, białe tenisówki. Ubranie było stare i wygodne. Facet średniego wzrostu, średniej wagi.

— W jakim wieku?

— Nie widziałem jego twarzy, tylko głównie plecy. Ale nie poruszał się jak chłopak. Musiał mieć co najmniej trzydzieści lat. Może czterdzieści.

— W jaki sposób się poruszał?

— Był skoncentrowany. Szedł prosto do samochodu. Niezbyt szybko, ale nie było wątpliwości, dokąd zmierza. Sądząc po tym, jak trzymał głowę, przez cały czas wpatrywał się w samochód. Tak jakby to było jego miejsce przeznaczenia. Cel. I sądząc po ramionach, trzymał kluczyk w wyciągniętej ręce. Niczym małą lancę. Skoncentrowany i zdecydowany. Nie tracący czasu. Tak właśnie się poruszał.

— Z której strony przyszedł?

— Praktycznie zza mojego ramienia. Mógł iść na północ, a potem zejść z chodnika przy kafejce i przeciąć ulicę w kierunku północno-zachodnim.

— Rozpoznałby go pan?

— Niewykluczone — odparł Reacher. — Ale tylko po ubraniu, chodzie i sylwetce. To by nikogo nie przekonało.

— Skoro przechodził przez ulicę, musiał zerknąć na południe, żeby sprawdzić, czy nie wpadnie pod samochód. Przynajmniej raz. Powinien pan wtedy zobaczyć prawą stronę jego twarzy. A potem, kiedy siedział za kółkiem, powinien pan zobaczyć lewą.

— Ostre kąty i nie najlepsze światło.

— Musiał pan go zobaczyć w świetle reflektorów samochodowych.

— Był biały. Bez zarostu. To wszystko, co zauważyłem.

— Biały mężczyzna — stwierdził Lane. — W wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. To eliminuje chyba osiemdziesiąt procent populacji, może nawet więcej, ale nam nie wystarczy.

— Nie ubezpieczyliście tego mercedesa? — zapytał Reacher.

— Nie chodzi o mercedesa — powiedział Lane.

- Był pusty.
- Nie — odparł Lane.
- Co w nim było?
- Dziękuję, panie Reacher. Bardzo nam pan pomógł.

Odwrócił się i podszedł do stołu, na którym był telefon i fotografia. Stanął przy nim sztywno wyprostowany, rozpostarł ponownie palce i oparł je o polerowane drewno tuż przy telefonie, jakby potrafił wykryć dotykiem, że zadzwoni, zanim jeszcze impuls elektryczny uruchomi dzwonek.

— Potrzebuje pan pomocy — powiedział Reacher. — Prawda?

— Dlaczego miałyby to pana obchodzić? — zapytał Lane.

— Z przyzwyczajenia. Pod wpływem odruchu. Z zawodowej ciekawości.

— Mam ludzi do pomocy — rzekł Lane, zataczając krąg dłonią. — Z Navy SEALs, z Delta Force, z Recon Marines, z zielonych beretów, z brytyjskiego SAS. Najlepszych na świecie.

— Potrzebuje pan innego rodzaju pomocy. Ci ludzie potrafią rozpętać wojnę z facetem, który ukradł pański samochód, to nie ulega wątpliwości. Ale najpierw trzeba go odnaleźć.

Lane milczał.

— Co było w tym samochodzie? — zapytał Reacher.

— Niech pan mi opowie o przebiegu swojej służby.

— Skończyła się dawno temu. To najważniejszy dotyczący jej fakt.

— W jakim stopniu pan odszedł?

— Majora.

— Ile lat spędził pan w wojskowym biurze śledczym?

— Trzynaście.

— Jako oficer śledczy?

— W zasadzie tak.

— Dobry?

— Dość dobry.

— W sto dziesiątej jednostce specjalnej?

— Przez jakiś czas. A pan?

— W rangerach i Delta Force. Zacząłem w Wietnamie,

skończyłem na pierwszej wojnie w Zatoce. Zacząłem jako podporucznik, skończyłem jako pułkownik.

— Co było w samochodzie?

Lane uciekł w bok wzrokiem. Przez dłuższy czas milczał, w ogóle się nie poruszając. A potem spojrział z powrotem na Reachera, tak jakby podjął decyzję.

— Musi mi pan coś obiecać.

— Co takiego?

— Żadnych glin. Od razu by mi pan poradził, żebym zwrócił się do policji. Ale ja nie zamierzam tego robić i musi mi pan dać słowo, że nie zrobi pan tego za moimi plecami.

Reacher wzruszył ramionami.

— W porządku — powiedział.

— Niech pan to powie.

— Żadnych glin.

— Jeszcze raz.

— Żadnych glin — powtórzył Reacher.

— Budzi to u pana jakieś etyczne opory?

— Nie — odparł Reacher.

— Nie angażujemy w to FBI, w ogóle nikogo. Załatwiamy to sami. Rozumie pan? Jeśli złamie pan słowo, wyłupię panu oczy. Oślepię pana.

— W zabawny sposób próbuje się pan zaprzyjaźnić.

— Szukam pomocy, nie przyjaciół.

— Dotrzymuję słowa.

— Proszę powiedzieć, że rozumie pan, co zrobię, jeśli pan je złamie.

Reacher omiół wzrokiem pokój. Wszystko ogarnął. Atmosferę cichej desperacji oraz niemal jawną wrogość sześciu weteranów sił specjalnych, którzy spoglądali na niego twardym wzrokiem, lojalni wobec swoich i nieufni w stosunku do obcych.

— Wyłupi mi pan oczy — rzekł.

— Lepiej niech pan w to uwierzy.

— Co było w samochodzie?

Lane odsunął rękę od telefonu i podniósł oprawioną w ramki fotografię. Trzymając ją oburącz, przysunął do piersi i Reacher miał przez chwilę wrażenie, że patrzą na niego dwie osoby.

Wyżej blada i zatroskana twarz Lane'a. Niżej, pod szkłem, kobieta o zapierającej dech klasycznej urodzie. Ciemne włosy, zielone oczy, wystające kości policzkowe, rozkwitające usta, wszystko to sfotografowane z pasją i znanstwem i po mistrzowsku wywołane.

— To moja żona — wyjaśnił Lane.

Reacher w milczeniu pokiwał głową.

— Ma na imię Kate — dodał Lane.

Nikt się nie odezwał.

— Zaginęła wczoraj rano — powiedział Lane. — Po południu dostałem telefon. Od jej porywaczy. Chcieli pieniędzy. I to one były w samochodzie. Widział pan, jak jeden z porywaczy mojej żony odbierał okup.

Nikt się nie odezwał.

— Obiecali, że ją uwolnią. Minęły już dwadzieścia cztery godziny. Nie zadzwonili ponownie.

3

Edward Lane trzymał oprawioną w ramki fotografię niczym ofiarę składaną bóstwu. Reacher zrobił krok do przodu, wziął ją do ręki i przechylił do światła. Kate Lane była piękna, bez dwóch zdań. Nie można było od niej oderwać wzroku. Młodsza od męża o jakieś dwadzieścia lat, miała około trzydziestki. Dość, by być dojrzałą kobietą i jednocześnie olśniewać nieskazitelną urodą. Na fotografii patrzyła na coś, co znajdowało się tuż za skrajem odbitki. W jej oczach płonęła miłość. Usta już za chwilę miały rozchylić się w szerokim uśmiechu. Fotograf uchwycił jego pierwszy ślad, dzięki czemu poza wydawała się dynamiczna. Postać była nieruchoma, ale wyglądała, jakby miała się zaraz poruszyć. Ostrość, ziarnistość i wszystkie szczegóły były bez zarzutu. Reacher nie znał się zbyt dobrze na fotografii, ale wiedział, że trzyma w ręku produkt wysokiej jakości. Sama ramka mogła kosztować tyle, ile zarabiał kiedyś miesięcznie w wojsku.

— Moja Mona Lisa — powiedział Lane. — Tak właśnie myślę o tej fotografii.

Reacher oddał zdjęcie.

— Kiedy zostało zrobione?

Lane postawił je pionowo obok telefonu.

— Niespełna rok temu.

— Dlaczego nie chce pan gliniarzy?

— Mam swoje powody.

— W tego rodzaju sytuacjach na ogół się sprawdzają.

— Gliniarze są wykluczeni — powiedział Lane.

Nikt się nie odezwał.

— Służył pan w policji — dodał Lane. — Poradzi pan sobie tak samo dobrze jak oni.

— Nie mogę — odparł Reacher.

— Był pan żandarmem. W takiej samej sytuacji poradzi pan sobie lepiej od nich.

— Sytuacja nie jest taka sama. Nie dysponuję ich środkami.

— Niech pan przynajmniej zacznie coś robić.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Reacher spojrzął na telefon i na fotografię.

— Ile zażądali pieniędzy? — zapytał.

— Milion dolarów w gotówce — odparł Lane.

— I to właśnie było w samochodzie? Milion dolców?

— W bagażniku. W skórzanej torbie.

— W porządku — powiedział Reacher. — Usiądźmy wszyscy.

— Nie mam ochoty siadać.

— Niech pan się odpręży. Na pewno zadzwonią. Najprawdopodobniej już wkrótce. Mogę za to ręczyć.

— Jak to?

— Niech pan usiądzie. Zacznie od początku. Opowie mi, co zdarzyło się wczoraj.

Lane usiadł zatem w fotelu obok telefonu i zaczął relacjonować poprzedni dzień. Reacher przysiadł na skraju sofy. Gregory obok niego. Pozostałych pięciu facetów znalazło sobie różne miejsca w pokoju: dwóch usiadło, dwóch przycupnęło na poręczach foteli, jeden oparł się o ścianę.

— Kate wyszła o dziesiątej rano — powiedział Lane. — Wybierała się chyba do Bloomingdale'a.

— Chyba?

— Pozwalam jej na pewną samodzielność. Nie musi mi przedstawiać szczegółowego rozkładu dnia. Nie codziennie.

— Była sama?

— Była z nią jej córka.

— Jej córka?

— Ośmioletnia córka z pierwszego małżeństwa. Ma na imię Jade.

— Mieszka tu z panem?

Lane pokiwał głową.

— Gdzie jest teraz?

— Oczywiście zaginęła — odparł Lane.

— Czyli to jest podwójne porwanie.

Lane ponownie pokiwał głową.

— Właściwie potrójne. Kierowca też nie wrócił.

— Nie pomyślał pan, żeby wspomnieć o tym wcześniej?

— A jakie to ma znaczenie? Jedna osoba czy trzy?

— Kto prowadził?

— Nazywa się Taylor. Brytyjczyk, służył w SAS. Porządny facet. Jeden z nas.

— Co się stało z samochodem?

— Zniknął.

— Czy Kate często wybiera się do Bloomingdale'a?

Lane potrząsnął głową.

— Tylko od czasu do czasu. I w niedającym się przewidzieć terminie. Nie robimy nic, co byłoby przewidywalne albo regularne. Zmieniam jej kierowców, zmieniam trasy, czasami w ogóle mieszkamy poza miastem.

— Dlaczego? Ma pan wielu wrogów?

— Tyłu, na ilu sobie zasłużyłem. Moja profesja przyciąga wrogów.

— Będzie pan musiał mi wyjaśnić tajniki pańskiej profesji. Będzie pan musiał powiedzieć mi, kim są pana wrogowie.

— Dlaczego jest pan pewien, że zadzwonią?

— Jeszcze do tego dojdę — odparł Reacher. — Niech pan mi zrelacjonuje pierwszą rozmowę. Słowo po słowie.

— Zadzwonili o czwartej po południu. Wyglądało to mniej więcej tak, jak można się spodziewać. Wie pan: mamy pańską żonę, mamy pańską córkę.

— Głos?

— Zmieniony. Przez jedno z tych elektronicznych urządzeń. Bardzo metaliczny, zupełnie jak robot na filmie. Głośny i głęboki, ale to nic nie znaczy. Mogą zmienić wysokość i siłę głosu.